

w ręce sprawiedliwości sprawcę tego obłądu, jaki spadł na naszą spokojną, kochaną stolicę. Jutro przedstawię panom plan działania i udzielię wyczerpujących objaśnień i instrukcji.

Urzednicy sklonili się w milczeniu.

Borghe wyszedł.

Udał się do swojego mieszkania.

Wczesnie rano zaalarmował go dzwonek telefonu.

— Hallo! To ja! — brzęczał głos miss Djany.

— Do usług!

— Minister Borghe, czy może mnie pan przyjąć?

— Będzie mi bardzo przyjemnie —

— Dobrze. Za godzinę jestem u pana.

— Do widzenia...

Wstał, ubrał się pośpiesznie, zjadł śniadanie i czekał...

Zaansowano gościa...

Weszła dziwnie wzburzona i blada.

— Dzień dobry panu. Bardzo, bardzo przepraszam...

— Ale cóż znowu...

— Ta nieodpowiednia pora...

— Drobnostka. Niechże pani usiądzie... jak u siebie.

— Panie Borghe, musiałam przyjść tutaj..

Oczy jej błyszczały niesamowicie. Na twarzy widniały ślady bezsennych nocy. Pod oczyma głębokie bruzdy...

— Pani coś jest..

— Istotnie. Może pan mi to wytłumaczyć...

— Cóż takiego?

— Może pan mnie uratuje, uwolni od tego nieznośnego stanu, od tej dręczącej zmy. Drżała nerwowo i nagle rozplakała się głośno.

— Pani Djano. Cicho. Niechże się pani uspokoi...

— To od tego strasznego wieczoru, który spędziliśmy razem w kinie „Demon“, coś mię tak męczy okropnie. Nie mogę spać. Głowa mię boli. Chwilami tracę świadomość rzeczywistości, nie wiem, gdzie jest i co robię!... Jakies potworne wizje, jakieś ohydne obrazy podobne do tych, które widziałam tam na ekranie ścigają mię w nocy i we dnie. Edgar Smith stoi przedemną taki zmieniony, tak dziwnie jakoś patrzy się na mnie — nie wiem, co to jest — co to znaczy...

— Znaczy to, że i pani popadła w ów stan zatrucia pod działaniem tajemniczej potęgi „Demona Filmu“. Spokojnie miss Djano. Spróbujemy się uleczyć. Nie pani jedna cierpi w ten sposób...

Siadł też przed nią, prawie dotykając kolanami jej kolan i ujął jej ręce.

Uporczywie i długo wpatrywał się w jej oczy...

— Pani jest bardzo znużona — rzekł półgłosem. Pani nie spała w nocy, nerwy są roztrzęsione, powieki ciężą ołowiem. Trzeba usnąć miss Djano, trzeba choć na chwilę koniecznie usnąć.

Wyjął zegarek i trzymał zwrócony tarczą ku niej na wysokości swoich oczu.

Djana istotnie patrząc na błyszczący przedmiot, wsłuchana w monotonne tykotanie zegarka opuszczała coraz niżej powieki, z trudem usiłując je z powrotem otworzyć.

Za chwilę uczuła straszne, ubezwładniające znużenie.

Twarz Borghe'a, cały spokój i jej cała zgorączkowana świadomość rozplynęła się w bladej, bezbarwnej hypnozie.

Usnęła głęboko.

Detektyw wykonał parę pociągnięć oburącz wzdłuż jej ciała i począł mówić głosem cichym, ale dobitnym.

— Kompletny, absolutny spokój. Działanie złej siły przemija. Nie pozostaną żadne ślady tej nerwowej choroby. Mózg będzie funkcjonował normalnie. Bezsenność ustąpi. Nie pójdzie już pani więcej do kina „Demon“, choćby to panią ciągnęło, jak magnes. Obudzi się pani świeża, jak odrodzona, zdrowa i pełna niespożytej energii.

Nacisnął zlekka jej powieki.

— Zbudź się — powiedział łagodnie.

Djana otworzyła oczy...

Istotnie po obudzeniu uczuła się jakby odmłodzona. Ze śmiechem radosnym dziękowała mu za ten zbawienny dla niej eksperyment hipnotyczny. Jak zły sen tylko majaczyło w jej głowie wspomnienie strasznych, obłądnych halucynacji nieprzespanych nocy.

— Co mam robić? — pytała energicznie.

— Narazie nic — śmiał się.

— Ależ ja chcę działać, pomagać, śledzić.

— Wystarczy — nasi detektywi...

— Zobacz pan. Spełnię czyn bohaterski. Odszukam wam tego wściekłego „Demona“.

— Miss Djano. Niechże się pani nie porywa z motyką na słońce. Obawiam się, że pani w istocie zechce popełnić jakie szaleństwo...

— Aha! — potwierdziła kiwając główką...

— ...I znajdzie się pani wtedy w śmiertelnym niebezpieczeństwie, z którego szpon może trudno nam będzie panią wyratować...

— Oslabia pan mój zapał — skarżyła się

— Nic nie szkodzi. Niechże pani jedzie do domu i połóż się grzecznie do łóżeczka. My sami damy sobie radę. Sprawa rozstrzygnie się wkrótce...

— Bezemnie — zapiszczała komicznie i żałośnie.

Ucałował jej ręce i podprowadził ku drzwiom.

Djana pożegnała go serdecznie i wsiadła do auta.

Odjechała istotnie do domu — grzeczna i posłuszna.

Wielki Detektyw przystąpił do działania. Usiadł przy biurku i począł przygotowywać plan niebezpiecznej kampanji.

— Mac! — krzyknął przez drzwi.

— Jestem.

Do pokoju wszedł główny agent śledczy...

ROZDZIAŁ X.

Tajemniczy jacht i „palaczka opjum“, jego najciekawszy pasażer.

Chcąc odnaleźć tego wieczoru bohatera niniejszej powieści, strasznego, złowrogiego „Demona“ musielibyśmy z lądu i jądra stolicy przenieść się gdzieindziej, na grunt bardziej chwiejny i niepewny.

Morze — — —

W porcie, niedaleko od stacji wojennych okrętów, tam gdzie zatoka „Purpurowych krabów“ rozlewa się w szeroką płaszczyznę Oceanu stoi na kotwicy nieduży, lecz piękny i zwinny jacht „Bajadera“. Na szczycie jego masztu powiewa indyjska flaga...

Właścicielem jachtu jest niejaki baron Dax, który jest zarazem kapitanem tego okrętu. Jest to figura bardzo ciekawa i dziwna — ni to wilk morski, ni to wykwinny, subtelny arystokrata, Kapitanowie sąsiadujących z nim okrętów na wzmiankę o nim żegnają się, lub mamrocą szybko pod nosem słowa zaklęć, odzegnywujących złe moce, bo wspomniany Dax jest podobno — jak oni twierdzą — wcielonym djabelem.

Nie przeszkadza to im wcale przyjmować zaproszeń tego pana i brać udział w urządzanych przez niego festiwalach i ucztach niezwykłych, na które baron, wielokrotny milioner nie żałuje brzęczącej monety. Nie przeszkadza to tembardziej odwiedzać wesołej „Bajadery“ najznamienitszym osobistościom Centralopolis, wśród których nie brak nigdy przedstawicieli najstarszej arystokracji rodowej.

Co tydzień na statku bogacza gra muzyka, strzelają w niebo kolorowe fajerwerki i bajeczna iluminacja odbija się setkami drżących świateł na rozkołysanej tafli zatoki. Pokład „Bajadery“ zamienia się wtedy, jak za dotknięciem czarodziejskiej laseczki w pływający „ogród Semiramidy“, w oranżerję najcudniejszych, podzwrotnikowych kwiatów... Mali, brązowi Malajczycy ustawiają szeregi palm i araukarij w ogromnych wazonach. Między palmami splecione są najróżnorodniejsze kwiecie, klomby róż wschodnich, storczyków i lotosów. Rozkołysane, odurzające zapachy upajają nozdrza błędzących wśród tej feerji ludzi, jak olbrzymia, zawrotna kadzielnica. Z gałęzi zwisają ciężkie naręcza daktyli i innych soczystych owoców południowych, które można zrywać wprost, jak z żywych drzew egzotycznych lasów, w klatkach śpiewają ptaki, fruwać ptaki rajskie, kolibry i różnokolorowe papugi.

W altanach palarni, stoliki do kart i bogato zaopatrzone bufety. Kobiety i mężczyźni jedzą tam, bawią się i flirtują, jak w raju.

Zimna, rozkoszna kąpiel w dyskretnie zatajonym w gąszczach basenie.

Tu i ówdzie huśtają się hamaki dla rozleniwionych upa'em kobiet. Płomiennocy chłopcy mahometańscy poruszają cierpliwie ogromne pierzaste wachlarze, odpędzając natrętne komary i chłodząc rozpalone twarze.

Na lśniącej tafli parkietów ułożonych na przednim pomoście odbywają się dancingi...

Dzika orkiestra gra szalone melodje, pary tańczą.

Od czasu do czasu produkcje akrobatów na masztach i linach, balety wschodnie i tańce stylizowane, popisy sławnych artystek.

Cóż dziwnego, że do burty „Bajadery“ przybijają wciąż stada motorówek i łodzi i na pokład wspinają się coraz nowi goście z miasta...

Nie zawsze przyjąć ich może Dax, którego interesy zmuszają do ciągłych i długich często wycieczek do stolicy, ale zawsze znajdują się tam uprzejmi oficerowie, którzy z wykwinną uprzejmością umieją objąć rolę gospodarzy w jego zastępstwie.

„Bajadera“ kryje się, jak w gęstwinie w tłumie natłoczonych okrętów.

Aby się do niej dostać, trzeba przebyć istny labirynt okrętów.

Trzeba płynąć długimi, krętymi ulicami pomiędzy kadłubami statków pasażerskich, małych i dużych, zwinnych i ociężałych, poruszanych elektrycznością, czy parą.

Las masztów zasłania niebo, łańcuchy i sznury kotwic przecinają drogę. setki łódeczek, czółen i szalup unoszą się, jak gęsto obok siebie rozsypane korki na falach. Gwar, łoskot, hałas, wrzask przeraźliwych syren, zziębnięte oddechy pieców, zgrzyt lin i huk pary buchającej tu i ówdzie z kominów. Swąd, jak we fabrycznej dzielnicy miasta.

Tu holowniki, tam ciężko ładowne barki, tam śmiałe, obrotne skunery, gdzieindziej prymitywne, żaglowe fregaty południowych wyspiarzy...

(Ciąg dalszy nastąpi).